

Scena nie znosi słabości

Z Niną Andrycz rozmawia Aleksandra Szarlat

- Jubileuszowe przedstawienie "Krzeseł" Eugene Ionesco, w którym bierze pani udział, odbędzie się na tej scenie kameralnej Teatru Polskiego, do którego przed 60 laty zaangażował panią Arnold Szyfman. Co jest przyczyną tak niezwykłego przywiązania?

- Bardzo wiele rzeczy. Gmach został zbudowany według projektu mojego wujaszka, Czesława Przybylskiego, więc jest to coś rodzinnego. Po drugie, sposób, w jaki dyrektor Szyfman mnie zaangażował, jest w historii teatru rzadkością. Szyfman, wówczas wszechwładny Bóg i car teatralnego świata, zaproponował mi angaż w pięć minut po egzaminie w szkole dramatycznej. Ja zaś zakochana w mężczyźnie, który się nie mógł ze mną ożenić, powiedziałam: "Panie dyrektorze, czuję się niezwykle zaszczycona, ale proszę mi pozwolić na kilka miesięcy wyjechać z Warszawy." Szyfman zmarszczył groźnie brwi, a potem coś go tknęło. "Sprawa sercowa?" - zapytał. A kiedy potwierdziłam, wydał werdykt: "Wobec tego niech pani jedzie, ale jeśli w Wilnie położysz pani choćby jedną rolę, nie ma po co wracać do Teatru Polskiego. Już ja pierwszy będę o tym wiedział". Ponieważ nie



Nina Andrycz: Sama o sobie stanowią. To, co kobietę ratuje, to nie młodość, nie uroda, ale charakter.

Fot. Anna Lewandowicz

mężczyźni się za nimi oglądali...

Czy pani również czuje, że kobiety tak bardzo się zmieniły?

- W wielu wypadkach na niekorzyść - naśladowaj mężczyzn krojem marynarek, sposobem szerokiego stawiania nóg, upijają się w towarzystwie... Zmienił się również mężczyźni. Nie adorują kobiet. W najlepszym razie klepią jej po łopacie. Ale każda kobieta musi wypracować własną taktykę w życiu.

Jaka jest pani taktyka?

- Taka, że sama o sobie stanowią. To, co kobietę ratuje, to nie młodość, nie uroda, ale charakter.

Przez wiele lat była pani żoną premiera. Czy ten fakt pomagał pani w pracy?

- Przeciwnie - przeszkadzał, budził niepotrzebną zawiść, zazdrość. Ale dzięki małżeństwu - to sobie wykoślenie - zobaczyłam znaczne połączenie świata. Zwiedziłam na przykład Azję i to jest mój duży kapitał. Jednak będąc żoną premiera, nie zbudowałam willi, a nawet nie wykupiłam swojego mieszkania...

Jako żona Józefa Cyrankiewicza bywała pani wśród elity politycznej tamtego okresu. Świadkiem na państwa ślubie był Władysław Gomułka. Czy nie ma pani ochoty tego opisać?

- Raczej nie. Teraz jest taka moda, że wszyscy piszą o sobie, a w tych książkach mitu i łągstwa jest nieprawdopodobna ilość. Miałam wie-

le propozycji napisania takiej książki, ale nie skorzystałam z nich. Jeśli już będzie to rodzaj autobiografii splecionej z fikcją. Tak jak w "My rozdwojeni".

Powiedziała pani kiedyś, że każdy nosi maski. Kobieta nawet najbardziej ograniczona ma zazwyczaj dwie twarze - jedną dla siebie, drugą dla męża, kobieta bardziej skomplikowana - jeszcze trzecią: dla kochanka. Pani również przyznaje, że nosiła sporo masek...

- Narzuca je współczesność, ponieważ jest bardzo zakłamana. Zbyt dużo jest sytuacji, w których nie można odsłonić własnej twarzy. Taką była codzienność w PRL-u. Tak jest nadal. Maski pozostały. Kilku kolegów przedzierzgnęło się w polityków. Nie wiadomo po co. Nie wiodło się im i nic nie uczynili dla teatru. Aktor nie powinien wkleić się w politykę. Dlatego zawsze byłam ostentacyjnie bezpartyjna, jako premierowa również. Nie było na mnie sposobu, choć gorąco mnie namawiano. Mówiono, że nie muszę chodzić na zebrania, ważne, by nazwisko figurowało. Żeby nie krzywdziła męża. Powiedziałam: "Mój mąż godzi się na tę krzywdę".

Ale do "Solidarności" się pani zapisała...

- Tak, ale wtedy cały teatr się zapisał, od sprzątaczk po dyrektora.

Publiczność chciała panią widzieć w jednej masce - kobiecy

dumnej i wyniosłej, takiej jak role, które wcześniej pani kreowała. Podobno, kiedy zgodnie z tekstem Mariusz Dmochowski ryknął do pani na scenie "Ty suko", do teatru przyszedł taki deszcz listów od protestujących widzów, że "obraźliwą" kwestię skreślono.

- "Ona nie suka - pisano. - To wulgarnie, obrzydliwe, na scenie takie wyrazy nie powinny padać". I zdanie wykreślono. Teraz do tego już by nie doszło. Od momentu, kiedy zaczęłam się drapać w pośludki jako madame Dulska, a tłum przyjął to z chichotem, nikt by się chyba nie dziwił.

Konsekwentnie zmieniała pani swój sceniczny image, grając później zamiast wyniosłych królowych Babę-Dziwo w sztuce Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, czy biegając po scenie w dresie w "Tangu" Mrożka...

- To był jeden z takich momentów, w którym aktor zdaje sobie sprawę z tego, że musi zmienić emplotę, że nie można zastygać w żadnej masce i przy żadnej szufladce. Aktor rozsądny powinien chcieć się zmieniać.

O ile teatr zawsze był dla pani szczodry, o tyle film nie był szczególnie łaskawy. Jednak niebawem zobaczymy panią na ekranie...

- Nie miałam szczęścia, tak się złożyło. Potem tak dalece pochłonał

mnie teatr, także telewizji, i życie, że pogodziłam się z losem. Po dłuższej przerwie zagrałam teraz w filmie "Horror w Wesołych Bagniskach" Andrzeja Barańskiego według prozy Choromańskiego i chciałabym podkreślić ogromną przyjemność pracy z reżyserem, który uosabia wielką kulturę na planie.

Jest pani również poetką i pisarką. Wiersze pisała pani od wczesnej młodości.

- Pisanie to jakby inna strona mojej osobowości. Wiersze podyktowane są potrzebą wewnętrzną. Mogę się w nich czasem przyznać do słabości, na którą nie ma miejsca na scenie. Najważniejsze zaś jest dla mnie to, że ludzie kupują moje tomiki.

Czy stojąc na deskach Teatru Polskiego, nie zdarza się pani czasem widzieć ten teatr, który odszedł w przeszłość? Swoich kolegów-aktorów, reżyserów?

- Kiedyś było tam kiepskie przedstawienie i raptem zapadła żelazna kurtyna. Sama. Siedziałam na widowni z profesorem Kotarbińskim, który się bardzo wstydził i coraz niżej pochylał swoją siwą głowę. Pomyślałam, że kurtynę z oburzenia spuściła Maria Przybylko-Potocka, która oddała swoją biżuterię na budowę teatru. Czasem zastanawiam się, co by powiedział reżyser X czy Y, gdyby podczas próby aktorzy patrzyli wciąż na zegarek... Wtedy nie było telewizji i nikt się nie śpieszył tam na próbę. Marny byłby los takiego aktora! A przecież dziś wszyscy patrzemy na zegarek. Ja również.

W tomiku wierszy "Wakacje w listopadzie" napisała pani: "Nie lękaj się, tak naprawdę My wszyscy żyjemy wiecznie. A już najbardziej wtedy, gdy wychodzimy z ciała".

Ale tak naprawdę wieczna jest tylko sztuka, nie sądzi pani?

- Religia chrześcijańska uczy, że dusza jest nieśmiertelna. Ale "Ars longa, vita brevis" - sztuka trwa długo, życie krótko. Najbardziej ulotna jest sztuka aktorska. Dzisiejsza technika nie uwiecznia nas naprawdę, nie jest w stanie schwycić fluidów danego człowieka. Zarejestrowany na filmowej taśmie wiersz Osterwy nie ma nic wspólnego z jego magią, z baśniowym czarem, jaki roztaczał. Jaracz w kinie nie jest sobą. Może w Hollywood, gdzie dysponuje się sprzętem na najwyższym poziomie, udało się uchwycić uśmiech Greta Garbo, jej boskie oblicze. Bo to było boskie oblicze. Ale co zostanie z polskiego filmu. Moja biografka zawsze mówiła: "Niech pani nie żałuje, że nie trafiła do tego filmu. Pani jest do Szekspira, a nie do kina". A Szekspir w kinie zawsze wychodzi słabo.

- Dziękuję za rozmowę.